

rzy, dopełnił dzieła zniszczenia. Morderstwo to nie ma precedensu w dziejach światowego pisarstwa i jest czymś bezprzykładnym nawet w martyrologii Żydów.

Nienawidzę wszelkich uniesień nad grobem. Zabraniam drzeć głosowi memu, gdy opowiada o zbrodniach katów-szalibierzy, o współwinie intelektualistów-agentów i o cierpieniach ich ofiar.

Ale wy, jakże moglibyście spoglądać obojętnie na los literatury, którą zamordowano? Nie znane są wam jej dzieła, ich piękno i wielkość, ich obietnice unicestwione. A przesławne sumienie powszechnie śpi snem tak sprawiedliwym, że nie zdołałby go zamącić krzyk zabijanego, gdyby nawet możliwym tego świata nie udało się go na czas stłumić.

Jednym spośród dwudziestu sześciu rozstrzelanych był Percec Markisz, najlepszy poeta jidisz naszego pokolenia. Poznałem go po rewolucji, we Wiedniu, a po raz drugi spotkałem go w Moskwie w 1931 roku. Wyglądał tak, jak sobie młodzi wyobrażają płomiennego poetę. Aby móc poznać jego utwory nauczyłem się czytać po żydowsku.

Mówią, że kiedy Markisz oszalał, nie przestawał śmiać się i śpiewać, nawet w chwili gdy lufa dotknęła jego głowy... Obok niego zginął wielki powieściopisarz, Dawid Berglson. Milleczak, patrzył na swych zabójców oczami liczącymi trzy tysiące lat. Ten *kosmopolita bez przodków* wziął jako tytuł swej ostatniej książki słowa swego przodka, psalmisty: „Zabity, żyć będę!”. U tego samego autora zapożyczył Berglson swe ostatnie słowa: „Ziemio, ach ziemio, nie przykryj mej krwi!”

Manès SPERBER

(Tłumaczył Marian Pankowski)

## Stanisław Grabowski

W „Przeglądzie Kulturalnym” ukazał się świetny artykuł Joanny Guze o malarstwie sztalugowym i malarzach, częściowo przedrukowany w kwietniowym numerze „Kultury”. Rozprawia się w nim ona z modną i naiwną teorią o końcu malarstwa sztalugowego i stawia problem jak stworzyć warunki życia malar-

rzom w kraju, gdzie nabywcą jest państwo wyłącznie, gdzie zakupy stają się z natury rzeczy obowiązkowo filantropijne, mechaniczne (obrazy do piwnic Ministerstwa Kultury i Sztuki), gdzie nie ma możliwości znalezienia nabywców prywatnych z powodu zbyt niskiego standardu życiowego wszystkich.

Joanna Guze pisze o skrajnej nędzy młodych malarzy w Polsce, wobec której młody Van Gogha „wygląda prawie komicznie”, bo przecież miał brata, który mu posyłał farby, a sam zaś tak mieszkał, że jeszcze Gauguina mógł do siebie zaprosić.

Odruchowo porównałem sytuację malarzy w Kraju z rzeczywistością tragicznym losem malarzy na Zachodzie.

Jestem przekonany, że bardzo wielu z nich powodzi się materialnie również nieskończenie gorzej niż Van Goghowi i równie źle jak artystom w Polsce. Jakiego artysta ma tu plusy? Istnieje tu przecież możliwość pomocy prywatnej. Wielki mecenas był i jest zawsze czymś tak rzadkim, że nie wiem czy warto o tym mówić. Ale jest walka kierunków, ożywiająca i płodna, stwarzająca autentycznych zwolenników i przeciwników malarza, jest to co mi powiedział jeden z polskich malarzy: „umrzeć możemy jak chcemy i nikt nas tutaj instrukcjami i naukami nie *bakieruje*”. Malarze, którzy doszli tutaj do sławy i pieniędzy, nawet Picasso — przechodzili okresy wielkiej nędzy. Ta nędza innych nie opuszczała do śmierci, ale nikomu z nich nie przychodziło do głowy, że nie jest artystą wolnym. Ginęli tu malarze dla wielu powodów: bo jest ich za dużo (mówi się zawsze o cyfrze 30 do 40 tysięcy), bo nie mieli talentu i przy malarstwie się upierali (nie tylko bywają grafomani ale także i pędzłomani), bo mieli więcej niż talent: mieli swoją odrębną *wizję* świata i byli *odpychani*. Narzucić wizję to proces skomplikowany, nieraz trwający lata. Nie wierzę, by taki Buffet dziś był brany poważnie, przez kupujących go na całym świecie, sytych i wytwornych kolekcjonerów, gdyby w pewnym momencie jeden z marchandów Paryża nie puścił w ruch dla niego całej maszyny propagandowej. Buffet mógłby i tak „dotknąć bruku” (przedziej posadzek) ale kiedyś w przyszłości, kiedy rosa by mu dawno oczy wyjadła. Może byłby lepszy nawet gdyby nie miał możliwości zamalowywania kilometrów płócien, ale dzieło jego tej miary i tych rozmiarów (a rozmiar tu coś znaczy) co „Okropności wojny” na pewno by wówczas powstać nie mogły. Sukcesy takich ludzi jak Derain, Rouault, Picasso czy Sutin to zwycięstwa na polu usianym trupami kolegów. Ta zdarta metafora wydaje mi się tutaj najzupełniej ścisła. Obojętność, ślepotą społeczeństw wobec wysiłku ludzi o własnej wizji, spokój z jakim te społeczeństwa dają im ginąć — jest zagadnieniem wiecznym. Cóżby się stało z Gierymskim gdyby nie Abakanowicz.

Na terenie paryskim Stanisław Grabowski jest dziś na pewno jednym z paru najwybitniejszych artystów polskich, nie tylko na emigracji. Najdelikatniej wrażliwy na kolor — ten malarz

ulegał przed wojną przeróżnym wpływom, jak zresztą każdy z nas, ale wówczas wiązać go można było chyba najbardziej z nurtem Dufy'ego: lekkość, arabeska, fantazja, świeżość i duża kultura malarska. W ostatnich latach zaczynał być coraz szerzej znany i uznawany w Paryżu. Wystawiał w najlepszych galeriach. Parę jego płócien zakupiły kolekcje. I w tej chwili właśnie dotknęło go nieszczęście. Niecałe dwa lata temu ten człowiek pełen życia i energii dostał wylewu w mózgu i jest dzisiaj na wół sparaliżowany. Wnuk Konstancji Gładkowskiej, pierwszej narzeczonej Chopina, syn urzędnika w Libawie, trafił do Paryża poprzez lata dzieciństwa spędzone w Rosji i pierwszą młodość w wolnej już Warszawie. Gdy przybył do Francji w 1927 roku, został już tu na stałe. Wraciał do Polski na krótko by urządzać swoje wystawy u Garlińskiego i w IPS'ie. Robił na mnie wówczas zawsze wrażenie malarza-poety. Z rozwaną blond-czupryną, nie chodził a latał. Zawsze mi się zdawało, że ma gdzieś skrzydła ukryte. Entuzjastyczny, niezmiernie wrażliwy, nie lubił mówić o swoich zmartwieniach. Nie miało się nigdy wrażenia, by ciągnął nędza, w której tkwił, w jakikolwiek sposób podcięła mu morale. Był uparty, gotów na każdą pracę. Tu, z Paryża, coraz to wyjeżdżał to na winobrania, to na pracę w polu, to na statystowanie w filmach, by móc coś zarobić i nie przerywać malarstwa. Do ostatniej chwili przed wypadkiem miał uczucie młodości i pełni sił. Wojna zastaje go na południu Francji. Aresztowany, potem wypuszczony, pracuje na roli, żyje nędznie, dożywia się paczkami ze Szwecji i ciągle maluje.

W roku 1945 cały w sprawach nic z malarstwem nie mających wspólnego, i jeszcze w mundurze, spotykam nagle Grabowskiego w metrze. Jest bardzo blady, już widzę na twarzy ślady zmarszczek i parę siwych włosów. Niesie pod pachą ogromną tekę gwaszy i akwareli. I tu, w metrze, mi je pokazuje. W oczach ten sam upór i w ruchach ten sam rozpęd. W rozmowie z nim miało się wrażenie jakby nie miał nawet świadomości, że była wojna, że są na świecie inne sprawy jak malarstwo. W martwych, które mi wtedy pokazał, uderzyło mnie, że barwa jest tak samo delikatnie wyczuła, ale że elementy konstrukcyjne grają rolę o wiele większą, transpozycja rzeczywistości wydała mi się bardziej zdecydowana i własna. Grabowski miał od tego czasu parę wystaw w Paryżu. Poza obrazami wystawiał również ceramikę: główki, figurki, talerzyki o kształtach i formach nieoczekiwanych. Tu znowu czuć było daleką i rozgałęzioną genealogię od poterie Picassa aż do figurek kreteńskich. Przyszły lata. Nie spotykałem go prawie. Paryż jest wielki. I dopiero teraz odwiedziłem go w szpitalu, jednym z największych, pod Paryżem w Garche, wśród tłumu ludzi o kulach i na wózkach. Miasto chorych. Wyszliśmy w chłodne, wiosenne popołudnie przed szpital. Grabowski powtarzał mi ciągle to samo: „Miałem zrobić coś nadzwyczajnego i nagle wszystko się urwało”. Ta myśl wraca ciągle do niego jak obsesja i w głosie jego sły-

chać zdziwienie, skargę dziecka, które skrzywdzono nie wiadomo dlaczego. Przecież żył dla sztuki, tylko dla sztuki, wszystko jej poświęcił. „Już zaczęło mi się powodzić materialnie” — a potem uśmiecha się porozumiewawczo — „naturalnie, tak, na moim poziomie, i wszystko się urwało”. Po ataku jeszcze w przeciągu więcej niż roku Grabowski malował i rysował lewą ręką. Widziałem jego ostatnie rysunki z jesieni. Jest w nich takie czucie plastyczne, że nawet kreska węgla, zalana czerwonym kolorem, jeszcze gra kolorystycznie i ma swój smak. Na grubych kartonach parę martwych, najzwyczajniejsze przedmioty szpitalne i jeden delikatny rysunek węgłem na brunatno zamalowanym papierze „Emmaus”. — „Czy ma pan książkę”, pytam. — „Mam”, odpowiada; przynosi mi... „Match” z wielką, kolorową reprodukcją Utrilla. — „Tak lubię Utrilla”. Na pożegnanie wciska mi ten „Match”, tego Utrilla — w prezencie.

Co miesiąc lekarz pozwalają Grabowskiemu przyjeżdżać na parę dni do Paryża do swej starej pracowni, gdzie wtedy jest pod opieką przyjaciela, malarza abstrakcyjnego — Janikowskiego. Odwiedziłem ich parę dni temu w ich pracowni paryskiej, w domu już historycznym „La Ruche”. Głęboko na tyłach Montparnasse'u, który już sam dzisiaj prędzej jest podobny do Pompei niż do dawnego Montparnasse'u „Rotondy” i „Dôme'u” z lat 1920-1930. Ten „ul” to gmach okrągły, dziś niemożliwie cuchnący i nędzny, cały pokrojony jak tort w wąskie trójkątne pracowni. Wątpię, żeby był inny za czasów gdy tu mieszkali Sutin i Chagall, Apollinaire i Cendrars. Tu dopiero mogłem obejrzeć część dorobku artysty. Dziwne wrażenie robi to malarstwo gdy je porównuję z paru malarzami, o których dziś trąbi krytyka światowa. Obrazy Grabowskiego zdają mi się bardziej muzyczne, dyskretniej poetyczne, pozbawione wszelkiej mechaniczności, która tak szkodzi wielkiemu talentowi Buffeta. Drobne sceny, postacie prawie schematycznie narysowane, z plamami czerwieni na tle całej gamy szarości, wielkie martwe: turkusowo-szafirowa, biała i różowa, czy najdelikatniej szara — wszędzie ta niezmienna dyskretna połączenia z bogactwem i gamą barwnej i inwencji.

Kiedy patrzyłem na małe płócienna z paru postaciami-laleczkami, występującymi na tle szarych wnętr, przypomniały mi się obrazy o ileż szczęśliwszego Campigliego. Ale i tu zdawało mi się, że te małe płótna są jakby głębiej i „jedynie” przeżyte, że mają wyższą jakość.

Nie wiem z kim z malarzy polskich mógłbym go związać. Z Waliszewskim? To Waliszewski bardziej kameralny, cichy, o wiele mniej agresywny. Bardziej jeszcze łączyć go można z Makowskim, w uproszczeniach form Makowskiego i w podobnej subtelności barwnej. Nawet w zachowaniu dzisiaj przypominał mi Grabowski tego wysmukłego, nieśmiałego samotnika, którego kiedyś odwiedziłem w jego ciemnej pracowni w okolicach Avenue du Maine.

Plóciem Grabowskiego jest bardzo niewiele — ależ bo większość tych, które widziałem, to płótna, to kartony malowane po obu stronach i ileż razy zamalowywane dlatego, że na nowe płótno czy nawet karton nie było pieniędzy.

Mimowoli patrząc na te obrazy zbierała we mnie gorycz: „Lepiej być koniem wyścigowym w Polsce niż malarzem” — powiedział w swoim czasie Gierymski. A być polskim malarzem w Paryżu, nie jest lepiej. Grabowski jest jednym z takich malarzy mojego pokolenia, z którym los obszedł się najokrutniej. Jego dorobek nie powinien być zaprzepaszczone, a według oceny lekarzy przy dobrej opiece możemy się jeszcze spodziewać, że będzie mógł dalej pracować.

Znam sporo polskich kolekcjonerów. Kupują podkowy Sobieskiego, mapy staroświeckie, portrety historyczne, albo zbierając obrazy mistrzów rujnują się na marne falsyfikaty. Ten gust do kolekcjonowania jest nadzwyczaj czcigodny. Uderza mnie jednak jak mało znam Polaków, którzy chcieliby *ryzykować* kupując malarzy nieznananych, malarzy nie figurujących na giełdzie światowej. We Francji był taki Choquet, skromny urzędnik, który kupował Cézanne'a. Był doktor Gachet, który leczył Van Gogha, a którego syn parę lat temu złożył królewski dar galerii Luwru (parę przepięknych Van Goghów i Cézanne'ów). Był ten rzeźnik, który kupował nieznanego i biednego Sisley'a, a w Polsce byli przecież lekarze i dentyści krakowscy, dzięki którym w ogóle malarstwo Młodej Polski mogło się rozwinąć. Na pewno, że i tacy są także na emigracji. Ja znam na razie tylko dwóch, to mało: inżynier w Kalifornii i lekarz w Londynie. Wielcy mecenasi, wielcy milionerzy — to marzenie ściennej głowy.

Jeżeli artyści w najcięższych czasach swego życia mogli się utrzymać, mogli pracować — zawdzięczali to przeważnie *przyjaciolom*, którzy interesowali się nimi, kochali ich i kupowali ich obrazy, choćby na raty. Takim sposobem powstały najcenniejsze kolekcje Francji, i tak możemy teraz pomóc Grabowskiemu.

Nie znam ani jednego malarza ukraińskiego na emigracji, któremu by zakupami nie przychodziły z pomocą rodacy z Ameryki (przeważnie księża!).

Piękne płótno Grabowskiego, ulica Paryża, w tonach szarych, perłowych i różowych nabyła „Kultura” i można je w domu „Kultury” obejrzeć. Większość plóciem artysty jest w jego pracowni, a w galerii Barbizon na ulicy Saints-Pères można obejrzeć jego rysunki wykonane w szpitalu.

Pomóżmy malarzowi, jednemu z najlepszych którego posiadamy, uratujmy jego dorobek przed zniszczeniem.

Józef CZAPSKI

## Jan Łukasiewicz

Śmierć Jana Łukasiewicza okryła żałobą nie tylko naukę polską. Z nim zeszedł do grobu jeden z świętnych umysłów naszego wieku, którego odkrycia zapisane są trwałymi zgłoskami w dziejach myśli ludzkiej. Uczyć się o nim będą przyszłe pokolenia jak uczyć się dziś o Bolajiu i Łobaczewskim, odkrywca geometrii nie-euklidesowych lub o samotnym geniuszu Georga Cantora, twórcy teorii mnogości. Odkrycie przez Łukasiewicza logik wielowartościowych jest osiągnięciem tego samego rzędu i podobnego znaczenia. Bolaj, Łobaczewski, Cantor i Łukasiewicz, każdy we własnej dziedzinie, dokonali swych odkryć przez podanie w wątpliwość prawd uświęconych autorytetem wieków, rzekomo oczywistych i niewzruszonych, pozornie głęboko zakorzenionych w naszej intuicji przestrzeni, stosunku ilości do części oraz prawdy.

Łecz zanim wypadnie powiedzieć słów kilka o tym światowym odkryciu, wróćmy na grunt nauki polskiej, by zakresić w wielkim skrócie dzieło życia Jana Łukasiewicza oraz rolę jaką odegrał w powstaniu i rozwoju nowoczesnej myśli filozoficznej w Polsce. Rola ta była nie mała i zasługi niepoślednie.

Jan Łukasiewicz wraz z swym nauczycielem Kazimierzem Twardowskim oraz jego uczniami, wśród których należy przede wszystkim wymienić Kazimierza Ajdukiewicza, Tadeusza Czeżowskiego, Tadeusza Kotarbińskiego i Stanisława Leśniewskiego, był jednym z najczynniejszych organizatorów studiów filozoficznych w Polsce niepodległej. Dzięki ich wysiłkom badania filozoficzne osiągnęły w okresie kilku lat stan kwitnący, a przez doniosłość swych odkryć, liczbę i świetność talentów, zyskały sławę w całej Europie. W Cambridge i w Oxfordzie, w Paryżu i w Getyndze, w Wiedniu i Zurychu, w Harvard i w Columbi, gdziekolwiek prowadzone były badania nad podstawami matematyki i logiką matematyczną, „sławna szkoła warszawska”, jak ją nieodmiennie określano, była gwiazdą pierwszej wielkości na firmamencie mieniącym się w tym czasie od imion wielkich i wybitnych umysłów. Każdy kto miał sposobność zetknąć się bezpośrednio z tym uznaniem, składanym ustami uczonych o głośnych w świecie nazwiskach — niech wolno mi będzie wymienić tytułem osobiste doświadczonego przykłady Borela, Russella, Eddingtona, Hardy i Wittgensteina — musiałby odczuć, jak to było moim udziałem, uczucie dumy i wdzięczności w stosunku do myślicieli i uczonych, którzy otoczyli Polskę blaskiem niepowspędniej i najcenniejszej świetności.

Na osiągnięcia warszawskiej szkoły logiki matematycznej